

## TAJEMNICA GARSTKI PACIORKÓW

„Naokoło Świata”,  
nr 18 z 1925 roku

Tajniki fabrykacji świecidełek szklanych, strzeżone zazdrośnie przez mistrzów z Murano, były od kilkuset lat zagadką trudną do rozwiązania. Współpracownikowi „Naokoło Świata” udało się zdobyć szczegóły dotyczące tego kunsztu oraz dokonać szeregu zdjęć fotograficznych, które po raz pierwszy ukazują się w prasie.

\*\*\*

Henryk Dandolo, potężny doża wenecki, nie był człowiekiem sentymentalnym. Po zdobyciu Konstantynopola, Epiru, Anatolii, Wysp Jońskich, Peloponezu i Cyklad zrabował starannie miasta greckie, ogołocił świątynie i pałace z dzieł sztuki, a ponieważ to mu nie wystarczało, postanowił przeszczepić kulturę bizantyjską do własnego kraju. Uskutecznił to w sposób niezwykle prosty i radykalny. Wybrał najlepszych artystów i techników greckich, wpakował ich wraz z żonami i dziećmi na okręty i przywiózł do Wenecji.

Nie było wtedy Ligi Narodów, nikt nie protestował, zwyciężeni musieli pogodzić się z losem.

Artystów umieszczono na wyspie Murano, odległej o pół godziny jazdy gondolą od Wenecji. I oto w końcu XIII wieku powstają na Półwyspie Apenińskim pierwsze huty szklane, by w krótkim stosunkowo czasie dojść do niebywałego rozkwitu. Potomkowie jeńców bizantyjskich asymilują się już w drugim pokoleniu z miejscową ludnością, zyskują nowych uczniów i tworzą liczne cechy. Kilka wspaniale zorganizowanych fabryk przysparza sławy wielkiej republice, a z krajów zachodnioeuropejskich napływają zamówienia na mozaiki i witraże kościelne. Jednak największą popularnością cieszą się paciorki weneckie, te prześliczne cacka, których nikt nie jest w stanie naśladować.

Marco Polo wiezie do Indii pierwszą partię paciorków i odtąd Wschód staje się najpoważniejszym odbiorcą towarów z wyspy Murano. Paciorki weneckie zalewają świat cały. Po odkryciu Ameryki awanturnicy hiszpańscy wymieniają je u czerwonoskórych na złoto. Inni podróżnicy niosą świecidełka do Afryki, by otrzymywać w zamian kość słoniową.

W wiekach XVI i XVII, gdy Europę ogarnął istny szal zdobywania nowych lądów, paciorki weneckie stały się najważniejszym artykułem wymiennym, zaczęły odgrywać rolę monety obieguwej.

I dziś jeszcze wyspa Murano zaopatruje wszystkie części świata w paciorki, wyrabia je masowo, sprzedaje za bezcen, więc tymczasem nie lęka się konkurencji. Sposoby fabrykacji są zdumiewająco proste, gdyż od ośmiu wieków nic się nie zmieniło na wyspie. Te same piece, te same metody i przepisy, jak za czasów wielkiej republiki. Jedynie mięśnie ludzkie zastąpiono w pewnych wypadkach motorami, lecz to, co najważniejsze, robi się nadal według utartego szablonu.

Posady w fabrykach są dziedziczne. Sztuka zamieniania płynnej masy szklanej na cudowne cacka – przechodzi z ojca na syna.

Przeglądając listy robotników w hutach weneckich, można zauważyć, że niektóre nazwiska, o brzmieniu nieco obcym, powtarzają się wyjątkowo często. To potomkowie prastarych rodów bizantyjskich, zamieszkałych od siedmiuset lat na wyspie Murano. Tworzą oni coś w rodzaju szlachty robotniczej i są najzdolniejszymi mistrzami w swym trudnym fachu. Choć czarni, umorusani i obdarci, z dumą wspominają o swym pochodzeniu. Huty, w której pracowali ich przodkowie, nie porzucą za żadne skarby. Niezastąpieni fachowcy zarabiają, jak na włoskie stosunki, wprost świetnie. Wykwalifikowany robotnik otrzymuje dziennie 100 do 150 lirów.

Toteż w gospodach na tej szczęśliwej wysepce podają do stołu wyborne wino, jakiego nie spotyka się w Wenecji. Szklanka kosztuje aż lira (20 gr), ale robotnik z Murano może sobie na taki zbytek pozwolić. Obiad w robotniczej „trattorii” można dostać za 20 lirów. Składa się on z zupy lub makaronu, ryby, pieczonego lub drobiu, sałaty, sera, owoców, no i rozumie się – wina, które tu przywożą na barkach z doliny rzeki Piave, podczas gdy mieszkańcy Wenecji poprzestają na lichym winie padewskim.

Właściciele fabryk w Murano pracują na równi z robotnikami. Na przykład jedna z najstarszych firm, posiadająca wielką wytwórnię artystycznych naczyń szklanych – rodzina Baronier – może się poszczycić aż sześciu artystami tego nazwiska, wyspecjalizowanymi w odlewaniu najwspanialszych arcydzieł sztuki hutniczej.

Interesująca nas bliżej fabryka paciorków „Luigi Marassi” jest również starą firmą, której data założenia ginie w pomroce wieków.

Gdy bierzemy do ręki sznurek drobniutkich paciorków z tej wytwórni, ogarnia nas podziw na widok różnokolorowych kulek o jednakowej średnicy, przewierconych misternie w niezrozumiały sposób. Przypuszczenie, że każde ziarnko z osobna poddano borowaniu, wydaje się nieprawdopodobne. A więc jak to się stało, że te szklane kulki można nawlekać na nitkę?

Dziwił się temu doża wenecki i dlatego tak skwapliwie brał do niewoli techników bizantyjskich, gdyż oni jedynie posiadali tajemnicę.

Zasada jest prosta, ale trudna do wykonania. Nikt w paciorkach nie wierci otworów, kulki rodzą się już przewiercone. Powstają one z maleńkich odłamków rurki szklanej i przez prażenie oraz długie szlifowanie piaskiem przybierają kształt kulisty, podłużny lub spłaszczony, zależnie od potrzeby.

Najciekawszym szczegółem fabrykacji jest przygotowanie rurek szklanych. Celują w tej sztuce, wymagającej przede wszystkim zdrowych łydek, młodzi chłopcy. W fabryce „Luigi Marassi” zbudowano w tym celu korytarz długości przeszło stu metrów. Nikomu nie wolno po nim się kręcić, gdyż jest przeznaczony dla chłopców, wyrabiających rurki.

Widok tego korytarza podczas pracy jest zaiste niezwykły. Z jednego końca, przylegającego do huty, z krzykiem wybiegają co chwila chłopcy. Każdy z nich trzyma w ręku rurę żelazną, zakończoną sopłą szkła płynnego.

Chłopczyna przykładą do ust drugi koniec rurki i dmucha, kołysząc się na końcach palców, by utworzyć z masy coś w rodzaju wielkiej łyzy, wewnątrz puste. Wąsem zwieszającym się z owej łyzy dotyka do leżącego na ziemi kawałka gorącego szkła.

Następuje sklejanie. Chłopiec rzuca się jak szalony i biegnie długim korytarzem, ciągnąc za sobą, tuż przy posadzce, gorącą lżę szklaną, która przeistacza się w rurkę długości stu metrów.

Dobiegł do końca. Brudnym rękawem ociera pot z czoła i wraca do huty, by ponownie zanurzyć swe berło żelazne w roztopionej masie.

Łatwa na pierwszy rzut oka praca wymaga ogromnej zręczności, gdyż od pocięciu, z jakim biegną chłopcy, zależy kaliber rurki szklanej, a więc i wielkość paciorków. Im szybciej wszystko się odbywa, tym cieńsza powstaje rurka.

Chłopcy muszą się świetnie orientować w sytuacji. Nie wolno im zatrzymywać się ani zmieniać tempa. Biegną równo, bez wytchnienia, a z żelaznych rur ściekają na posadzkę lśniące nici szklane, czasami przezroczyste, to znów zabarwione tlenkami metalicznymi.

Każdy z tych ruchliwych młodzieńców co pięć minut czerpie nowy zapas roztopionego szkła i biegnie, robiąc w obie strony okrągłe 200 metrów, co tworzy w ciągu dnia (odliczając chwile wypoczynku – około 12 kilometrów). Pomnóżmy tę liczbę przez 300, a dowiemy się, że chłopiec przebiegnie rocznie 3600 kilometrów.

Rurki szklane tną się nożycami na kawałki długości 1,5 metra, po czym wiąże się w pęczki i przenosi do sieczkarni.

Duża, jasna sala, zastawiona maszynami przypominającymi nasze wiejskie sieczkarnie, pełna jest skrzyń z poszatkiwanym szkłem. Jedyne udoskonalenie – to motorki elektryczne do poruszania noży.

Robotnica układa pęk rurek na deseczce i posuwa stopniowo ku nożowi, działającemu bardzo szybko. Przez płaski lej miedziany sypią się do podstawionych pudeł maleńkie cylinderki szklane. Wszystkie muszą być jednakowych rozmiarów. Jeżeli średnica ich będzie się równała wysokości, to po ostatecznej obróbce powstaną mniej więcej foremne kulki. Jeżeli średnica będzie większa, kulki wyjdą spłaszczone.

A teraz zbliżamy się do najtrudniejszej fazy fabrykacji. Drobne cylinderki, przez nagrzewanie i tarcie, przeistoczą się ostatecznie w paciorki. Do tego celu służą garnki z glinki ogniotrwałej. Sypie się do nich dwie części szkła i jedną część żwiru, sprowadzonego aż z Francji, albowiem włoski piasek zawiera tlenki żelaza, które barwią szkło na brunatno.

Nagrzewanie odbywa się w piecu opalanym drewnem. Garnek, umocowany na osi żelaznej, jest w ciągłym ruchu obrotowym. Robotnik pilnuje, by temperatura nie przekroczyła dozwolonych granic, gdyż otworki w paciorkach mogłyby się pozasklepić.

Pod wpływem ciepła szklane cylinderki miękną i kurczą się, a ciągłe tarcie o drobiny żwiru wpływa na zaokrąglenie ich kształtów. Robotnik co kilka minut przerywa nagrzewanie, zatrzymuje motor, wyciąga garnek z ognia i bada zawartość. Jeżeli kształt ziarenek nie zadowala go, nagrzewa dalej, a gdy uzna przemianę cylinderków na kulki za skończoną, podstawia blachę i wysypuje na nią gorące paciorki pomieszane z piachem.

Po dokładnym oddzieleniu piasku na młynku paciorki wędrują do sit. Przesiewanie, a właściwie kalibrowanie, odbywa się na sitach kształtu czworokątne-

go, poruszanych motorem elektrycznym. Jeden robotnik z młodym pomocnikiem obsługuje maszynę.

Na tym kończy się właściwa fabrykacja, ale zjawia się nowa trudność – paciorki trzeba ponawlekać na nitki. Lecz to odbywa się poza murami fabryki.

Nawlekaniem trudnią się przeważnie stare kobiety, nie tylko w Murano, lecz i na pozostałych wysepkach weneckich. Pracują na akord, od kilograma, a dochodzą do takiej wprawy, że czynią to na oślep.

W bocznych uliczkach Wenecji często można spotkać staruszki zajęte nawlekaniem. Siedzą na niskich stołkach, trzymając małe niecki drewniane na kolanach, pełne drobniutkich paciorków. Nie nawlekają z osobna każdego ziarnka, lecz hurtem, po kilkanaście. Wprawna kobiecina bierze do ręki dziesięć do dwudziestu igieł z nitkami i zanurza je w paciorkach, wstrząsając niecką. Paciorki same nadziewają się na igły. Wydajność takiej pracy wynosi do czterech kilogramów dziennie. Jest to zajęcie łatwe, niemęczące, ale też i licho płatne.

Nawleczone paciorki wracają do fabryki, gdzie robotnice wiążą je w pęczki wagi 400 gramów, zawijają w papier i ładują do skrzynek, które będą wysłane do najodleglejszych zakątków świata. Paciorki dostaną się do rąk różnych specjalistów, by otrzymać ostateczny wygląd.

A więc: w Wenecji przerobią je na naszyjniki, bransolety, portierey, ozdobne poduszki, wzorzyste dywany, rolety, zasłony, parasolki; u nas, mistrzyni cechu krawieckiego wyszywają paciorkami suknie karnawałowe swych klientek. Indie, Chiny, Ameryka pochłaniają ogromne ilości. Nawet Japończycy, wyjątkowo uzdolnieni do naśladowania europejskich sposobów fabrykacji, choć kochają się w świecidełkach weneckich, jeszcze nie umieją ich podrabiać.

Oby tylko jaki Niemiec nie wynalazł automatu do wytwarzania paciorków. Nędza zagościłaby wtedy na szczęśliwej wyspie Murano.

*Władysław Zambrzycki*  
*Wenecja, sierpień 1925 r.*